



TADEUSZ PAPIER

RECENZJE CZASU

1

Narzekaliśmy do niedawna na brak dobrej współczesnej powieści o wsi. Książki takie wreszcie pojawiły się. Plon ostatniego konkursu literackiego Ludowej Spółdzielni Wydawniczej i Związku Literatów Polskich przyniósł wiele interesujących pozycji. Niektóre z nich już się ukazały na rynku księgarskim. Przeczytałem „Pożegnania i powroty” Alojzego Srogi (pierwsza nagroda), „W słońcu” Juliana Kawalca (również pierwsza nagroda), „Plamę” Stanisława Pięta (II nagroda), „Kłusowników i naganiaczy” Bogusława Koguta (III nagroda). Wśród nagrodzonych i wyróżnionych pozycji znalazły się jeszcze: „Studium” Ernesta Brylla, „Powroty” Michała Ciapały, „Siostry i żołnierze” Władysława Bąka, „Szczęście własne i cudze” Danuty Biełkowskiej, „Tarcza samotnika” Teodora Goździkiewicza, „Prosto z pnia” Edwarda Góry, „Serce nienasycone” Emilii Kunowicz, „Zasieki” Stefana Lubicza, „Ja za wodą, ty za wodą” Joanny Zwirskiej. Powieści te w różny sposób przedstawiają wieś, są w większym lub mniejszym stopniu „prawdziwym zwierciadłem” odbijającym życie wiejskie, a przecież, wliczając tytuły i autorów, jeśli chce się uzyskać pełniejszy obraz literatury o wsi, nie sposób pominąć takich nazwisk jak Wiktor, Burka, Jarochoński, Macha, Mortona, Czernika, czy z młodszych Nienackiego („Podniesienie”). O „Dziadowskiej miłości” Jarochońskiego i „Jaworowym domu” W. Macha mówiło się kiedyś, że są one zwiastunami nadchodzących zmian na lepsze. Nie zawsze proroctwa naszych krytyków trzeba traktować poważnie, ale tym razem (jak świadczy konkurs LSW) nadzieje spełniły się i sądząc z zapowiedzi wydawniczych i osobistych wynurzeń autorów, jest to dopiero początek tych przemian.

Dokończenie na str. 4

Zawsze wierni
lipcowej
proklamacji

POLSKA = POKÓJ

Ogłoszony przed dziesiętnastoma laty Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego stwierdzał krótko:

„POLSKA POLITYKA ZAGRANICZNA BĘDZIE POLITYKĄ DEMOKRATYCZNĄ I OPARTĄ NA ZASADACH ZBIOROWEGO BEZPIECZEŃSTWA”.

Przez 19 lat, które minęły od tej historycznej daty, bywały na świecie dni pogodne i chmurne, krzywa napięcia międzynarodowego raptownie pięła się w górę lub też raptownie opadała. Nasza polityka zagraniczna zawsze jednak pozostawała wierna lipcowej proklamacji. Właśnie dlatego w ciągu tych krótkich 19 lat zyskałszy w świecie tak licznych przyjaciół. Głos Polski jest SŁYSZANY I RESPEKTOWANY.

Trzy podstawowe kierunki określają naszą politykę zagraniczną:

- dążenie do umacniania obozu socjalistycznego jako podstawowego czynnika w walce o pokój,
- popieranie ruchów postępowych,
- rozwój stosunków z całym światem na zasadzie pokojowego współistnienia.

Na udowodnienie każdego z nich można by przytoczyć dziesiątki przykładów, ograniczmy się jednak tylko do jednego: naszego wkładu w walce o rozbrojenie.

Jest to jeden z podstawowych problemów współczesności. W świecie trwa bowiem swójsty wyścig z czasem: Każdy rok przynosi coraz doskonalsze i liczniejsze bronie. Już w roku 1960 obliczano, że w przeliczeniu na prosty materiał wybuchowy — troyl na głowę każdego mieszkańca globu ziemskiego przypada w... 10 tonowa.

Według danych, przytoczonych na Światowym Kongresie Pokoju, który odbył się w Moskwie w ub. roku, nagromadzone potencjał broni jądrowej 12 i pół miliona razy przewyższa siłę niszczycielską bomby atomowej zrzuconej na Hiroszimę.

Te dwie liczby, choć można by podobnych wyliznąć przedstawień znacznie więcej, nakreślają plastycznie rozmiary omawianego problemu z każdą deslow-

Dalszy ciąg
na str. 2

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI



Rok VI
Łódź, 21-22. VII. 63.
Nr 29 (281)
Cena 1.— zł

FELIKS BABOL

ZAKOPANE i SŁOŃCE

Czy pod Giewontem snuje się jeszcze cień Mazurkiewicza? Czy w „Watrze” opijają interesy hochsztaplerzy? Czy w „Europejskiej” żigolaki polują na „tuste” panie szewcowe i fabrykantki błyskawicznych zamków? Czy w orbisowskiej „Murowanej Piwnicy” spryciarze wyludniają walutę od co najmniej turystów zagranicznych?

Na te i inne pytania chciałem w tych dniach znaleźć odpowiedź, odwiedzając Zakopane i stając się tym samym jednym z 1 mln. 200 tys. turystów, którzy rokrocznie przybywają do tej perły Tatr. Okazało się jednak, że... nie te czasy! Że niebieskie ptaki w wielkim stylu już dawno wyfrunęły z Zakopanego, że w „Europejskiej” ujrzyć co najwyżej wyblakłego kociaka, że w „Watrze” nikt już nie szasta „góralami”, w „Murowanej Piwnicy” dewizowi goście szybko zjadają schabowe kotlety, popijając „Radebergerem” w chwilę po-

tem zapuszczają motory samochodów, by Zakopane zamienić na Czorsztyn lub Kraków.

Zakopane przestało już być Mekką dla ewaniaków wszelkiego autoramentu: co zamożniejsi turyści wolą już dziś Adriatyk czy Wenecję, więc ewaniacy nie mają co tu robić. A panie fabrykantki błyskawicznych zamków smażą się we własnym sosie w wytworonym „Domu Rzemieślnika”, nudząc jak mopsy. Jesteśmy bowiem

świadkami pewnego przeobrażenia, które z Zakopanego, tej naprawdę pięknej miejscowości polskich Tatr może uczynić cel wycieczek i wyjazdów „normalnego turysty” i „normalnego wczasowicza”. Może?

Trzeba wspomnieć, że z owych 1 mln. 200 tys. przy-

Dalszy ciąg
na str. 8

Obserwatorium astronomiczne na Kasprowym Wierchu

Fot. W. Werner



22 lipca Święto Odrodzenia Polski

Arystarch

KLIMAT

sprawiedliwości czyli MY i ONI

W poprzednim felietonie („Klucze albo — pozory sprawiedliwości”) pisałem, że w oficjalnie głoszonych na Zachodzie założeniach „human relations” kierunek ten ma na celu stworzenie klimatu sprawiedliwości społecznej przez taktowne postępowanie z robotnikami w fabryce, a wobec niebezpieczeństw dezintegracji (czyli braku zespolenia) najemników i obojętności dla zakładu pracy, niebezpieczeństw spowodowanych postępowaniem technicznym (racjonalizacją i automatyzacją), human relations mają stworzyć pozory, że robotnicy są co najmniej współgospodarzami przedsiębiorstwa.

Ale oprócz oficjalnych tez zachodnie „human relations” (obciążone klasową ideologią burżuazyjną) posiadają jeszcze — jak pisał Ryszard Turcki w „Dynamice przemian społecznych” — inne, „ciche założenia”; ciche to znaczy — tajne, przeznaczone tylko dla kierowników i zaufanych ludzi fabrykanta. A oto, jak brzmią te „ciche” założenia. Kapitalistyczni przedsiębiorcy w ślad za swymi uczonymi przyjmują za pewnik, że:

1. Przeciwny pracownik jest z natury leniwy i stara się pracować jak najmniej.
2. Pracownik nie ma ambicji, unika odpowiedzialności i woli, żeby nim kierowano.
3. Cele pracownika są wyłącznie egoistyczne i wobec potrzeb przedsiębiorstwa zachowuje się on obojętnie.
4. Pracownik z zasady sprzeciwia się wszelkim zmianom.
5. Pracownik jest bezkrytyczny i podatny na argumenty szarlatanów i demagogów.

Wynika z tego jasno, że uczeni zachodni i kapitaliści negują istnienie jakichkolwiek wartości społecznych w naturze człowieka pracy. I nawzajem, klasy pracujące odnoszą się z nieufnością do zabiegów propagandowych, mających na celu ściślejsze, powiedzmy — przyjacielskie związanie robotnika z fabryką. Coraz częściej spotyka się wśród ekonomistów opinie, że środki pieniężne przeznaczane na finansowanie ruchu human relations są pieniędzmi wyrzuconymi w błoto, i że w ekonomice kapitalistycznej radość pracy i rzeczywiste zainteresowanie robotnika w wynikach produkcyjnych nie dadzą się urzeczywistnić.

Zachodnie autorytety socjologiczne, jak C. I. Barnard, W. M. Conway i inni udzielają właścicielom i dyrektorom wielkich zakładów przemysłowych pouczających i znamienych rad co do tego, jakim warunkom powinna odpowiadać osoba kierownika zakładu, czyli przywódcy. Posługując się analogią z dziedziny techniki porównuje się osobę dyrektora do termostatu, to jest, do aparatu, który w zależności od zewnętrznej

temperatury daje więcej lub mniej ciepła. Otóż, idealny przywódca to przywódca-termostat. „Dr Barnard pisze (cytuje za J. A. C. Brownem, autorem „Społecznej psychologii przemysłu”), że dobry przywódca w przemyśle może niekiedy sprawiać wrażenie, że jest człowiekiem dość głupim, arbitralnym urzędnikiem, zwykłym pośrednikiem i plagiatorem cudzych myśli. Musi on być dość głupi, aby wysłuchiwać mnóstwa spraw i musi być niekiedy tylko środkiem łączności. Gdyby polegał tylko na swych własnych myślach, byłby raczej jednoosobową orkiestrą, a nie dobrym dyrygentem, który przedstawia typ przywódcy bardzo wysokiej klasy. Trudność polega na tym, aby znaleźć ludzi, którzy posiadają te cechy, to znaczy, są należycie głupi, skutecznie pośredniczą w łączności i potrafią przyswajać sobie słuszne myśli”.

W rezultacie zostaje dokonany podział na przywódców autokratycznych, demokratycznych i liberalnych, którzy z kolei dzielą się na bardziej zróżnicowane odmiany.

Rzecz uderzającą w tych uczonych rozważaniach jest pewien machiawelizm, polegający na tym, że dobrą ocenę uzyskuje ten przywódca, który za wszelką cenę osiąga cel, czyli w umiejętny sposób potrafi ujarzmić, opanować i pokierować armią najemników fabrycznych. Przy tym klasę robotniczą traktuje się jak przedmiot do zdobycia nie uwzględniając tych wartości twórczych, jakie w organizacji przemysłu i stosunków pracy w przedsiębiorstwie mogą wnieść ludzie pracy.

Dla odmiany weźmy do ręki pierwszy lepszy raport czy opis zakładu przemysłowego w Polsce, żeby przekonać się, jak przedstawia się sprawa kierownictwa u nas. „W przedsiębiorstwach socjalistycznych — pisze Władysław Markiewicz w „Społecznych procesach uprzemysłowienia” — pozycja, jaka przypada pracownikowi nie zależy wyłącznie od zajmowanego przez niego stanowiska służbowego, ale w nie mniejszym stopniu także od roli, jaką odgrywa on w organizacjach społecznych działających w zakładzie i poza zakładem. Korzystając z przysługującego mu prawa krytyki swoich przełożonych, robotnik-działacz społeczny zajmuje faktycznie pozycję nadrzędną w stosunku do nich...”.

Markiewicz opisuje warunki pracy robotników zakładów produkcyjnych w rejonie górniczo-energetycznym Konina stwierdzając, że ze strony robotników wzrosły wymagania w stosunku do kierowników różnych szczebli hierarchii kopalnianej. Podwładny personel oczekuje od inżynierów nie tylko wiedzy fachowej (co wyraża się w powiedzeniach, że „inżynier powinien znać się

na robocie”), ale również — umiejętności postępowania z robotnikami. Przełożeni są kwalifikowani przez pracowników na „dobre” i „złe” fachowców i na „dobre” i „złe” ludzi. Oczekuje się od nich nie tylko, żeby „inteligentnie obchodzili się z szarą masą”, ale również — aby „wysłuchali wpraw różnorodnych opinii, a dopiero potem wypowiadali własny sąd”. Taki dyrektor cieszy się wśród załogi wysokim autorytetem.

W opisach Markiewicza uderza zrozumienie przez robotników potrzeby autorytetu dyrektorskiego. „Do ludzi trzeba z sercem, chociaż stanowczo — brzmii wypowiedź jednego ze sztygarów.

Niepodobna w ramach felietonu wyczerpać bogatej i arcyinteresującej materii zagadnień i problemów, które opisał Markiewicz badając warunki pracy i plac oraz stosunków międzyludzkich w Kopalni Węgla Brunatnego „Konin” i w Elektrowni „Konin”. Wydaje się jednak, że koniński rejon górniczo-energetyczny jest mikrokosmosem, w którym jak w kropli deszczu odbija się obraz świata pracy w Polsce. O tym obrazie powiedział wybitny uczoney Georges Friedmann w przedmowie do polskiego wydania swej pracy „Maszyna i człowiek. Problemy człowieka w cywilizacji maszynowej”, że — „powinniśmy uważać Polskę za jedno z najważniejszych laboratoriów, w których przygotowuje się świat jutra”.

(Dalszy ciąg ze str. 1)

nie godziną powiększającego się.

Jak zatem przeciwdziałać tej narastającej groźbie?

Odpowiedź na to nurtujące całą ludzkość pytanie dał Związek Radziecki, przedkładając swe propozycje całkowitego i powszechnego rozbrojenia. Jest to realny program walki o uratowanie ludzkości przed atomową zagładą. Jego alternatywą jest tylko kontynuowanie niebezpiecznego w skutkach wyścigu zbrojeń.

Tak więc na forum ONZ w 1959 roku wytyczony został cel, do którego konsekwentnie należy dążyć.

Nie jest to jednak cel łatwy do osiągnięcia. Na drodze do jego urzeczywistnienia pojawiają się różnorodne trudności, których bez zrodnej, dobrej woli wielkich partnerów nie będzie można usunąć.

Projekt całkowitego i powszechnego rozbrojenia nie tylko nie wyklucza, ale nawet za-

EWA SULIBORSKA

„Hodowca w Ogrodzie Zoologicznym — mówi inżynier Suliborska — ma zadanie skomplikowane. Niektóre gatunki dzikich zwierząt nie są dokładnie zbadane przez zoologów i nie zawsze wiadomo jak należy z nimi postępować. Staramy się o to, by zwierzęta żyły w podobnych do warunków naturalnych. Jak zapewnić jednak lwom czy sepom takie warunki? Staramy się w pierwszym rzędzie o to, by zwierzęta, odpowiednio odżywiały. Nie zawsze jest to łatwe. Małpy, nad którymi sprawować opiekę jest ogromnie miło, są nieufne, niechętnie jedzą nowe potrawy. Trzeba je jakoś przekonawać. Najchętniej jedzą kartofle w lupinach, ale nie może to być przecież ich jedynym pożywieniem. Muszą jeść potrawy kaloryczne i odpowiednio witaminizowane. Ich pożywienie układamy podobnie, jak układa się menu ludzi. Na śniadanie słodzona kawa z mlekiem, albo i samo mleko z pokruszoną bułką. Kiedyś bułkę smarowaliśmy masłem, ale małpy przewrotnie smarowały masłem podłogę, teraz dokłada się masło do mleka. Na obiad: buraki, marchew, płatki owsiane na kolację owoce — czereśnie, truskawki, pomidory, ogórki. Małpy dostają jajka, daje im się nawet pomarańcze. Drapieżcy niechętnie jedzą wołowinę, a o koninę, szczególnie w okresie letnim jest trudno. Hodujemy owce, świniaki, wszystko po to, aby jakoś te braki w mięsie nadrobić, ale zwierzęta potrafią nie jeść i trzy dni... wtedy rozpaczać, prześcigamy się w pomysłach, wynajdujemy artykuły zastępcze... Będziemy mieli teraz własną chłodnię w przyszłym roku zrobimy trochę zapasów na letnie miesiące. Może to ułatwi nam ogromnie skomplikowane problemy żywienia”.

„ZOO jest placówką naukową — mówi — mamy radę naukową, prowadzimy prace badawcze. Każdy z trzech, bo tytuł łódzkie ZOO zatrudnia asystentów-hodowców, ma pod swoją opieką zwierzęta z kilku działów. W ZOO obowiązuje układ zgodny z systematyką. Ptakami i drapieżcami opiekują się jedna osoba, zwierzętami kopytnymi i małpami — druga, zwierzętami futerkowymi i akwariami — trzecia. Każde żyjące w ogrodzie zoologicznym zwierzę ma swoją kartę. Na niej zapisuje się zarówno uwagi hodowlane, jak i lekarskie. Mamy zanotowany wzrost wagi, objętość, pożywienie i choroby zwierzęcia. Uwagi te ośrodek ułatwiają prace i służą mogą do pewnych naukowych uogólnień”.

„Dla hodowcy istotne są dwie sprawy: zdrowie zwierzęcia i tzw. wyniki hodowlane — przychówek. Zwierzęta oczywiście aklimatyzują się i przystosowują do wa-

Łódzianie
1963



ELŻBIETA ŚLUSARSKA

runków w jakich żyją. Małpy bez względu na pogodę są wypuszczane na wybieg. Choć żyją bananami, u nas z apetytem jedzą kalafiory. Codziennie oglądamy wszystkie zwierzęta, ustalamy pokarm, dajemy wskazówki pielęgniarzom. Drobne z pozoru błędy dietetyczne spowodować mogą choroby i wtedy wkraczać musi lekarz. A hodowcy interwencji lekarskiej nie lubią. Przystosowanie zwierząt dzikich pochwycanych w naturze. Gdy w ZOO rodzi się jakaś nowa sztuka jesteśmy wszyscy dumni, bo to są nasze zawodowe sukcesy. Niektóre zwierzęta niesłychanie rzadko dają potomstwo w takich jak w ZOO warunkach. Ale my mieliśmy młode sepy, antylopy, zebry... Mieliśmy też likaona, albo inaczej psa hienowego (tylko dr Zabickiemu przed wojną udało się go w Polsce wychować). Kiedy pierwszy raz rodziło się młode, nie byliśmy pewni, czy się uda — uratował. Samica likaona natychmiast po urodzeniu zjadła młode. Trzeba więc było przelagnąć do kratki niemowlę pod młot. Potem mieliśmy młode jeszcze kilkakrotnie. Teraz młodych nie mamy, pewnie dlatego, że jedna para jest za stara, a druga to brat i siostra. Niedawno urodziło się zebu indyjskie, wielki cielak, nie można go wsadzić na taką wagę dla niemowląt, na której waży się zwierzęta do 20 kg. Zatrudniamy specjalnie przyszłolonych brzdączy — pielęgniarzy. Do ich obowiązków należy, poza oswojeniem i podawaniem pożywienia, także

i opieka nad życiem i zdrowiem zwierzęcia. Niestety, opiekę tę trzeba sprawować szczególnie pilnie w czasie, gdy ogród otwarty jest dla publiczności. Przez te dwadzieścia pięć lat (ZOO założono w 1938 r. i wkrótce będziemy obchodzić jubileusz) nie zdołaliśmy wychować publiczności. Małpy w poniedziałek są chore na żołądek. A my od niedzieli prowadzimy intensywne kuracje. Kiedy zamyka się ogród zwierzęta odpoczywają. Obserwowałam kiedyś zebry. Ich radość była żywiołowa, galopowały wszystkie wokół placu... Bardzo to był zabawny widok. Życie zwierząt w ZOO organizowane jest na nieco szpitalny sposób. Godziny posiłku są stałe, gdy coś stanie się nieprzewidywane — zwróży się mleko, nie ma mleka — zwierzęta niecierpliwia się...

„W Polsce jest 10 ogrodów zoologicznych. Zwierząt nie sprzedaje się, prowadzimy z innymi ogrodami handel wymienny. Najchętniej i najczęściej prowadzimy taką handel z kupcami holenderskimi. Utrzymanie zwierząt w ogrodzie kosztuje około dwu milionów rocznie. Jeden bilet dla osoby dorosłej kosztuje 3 złoty, dla dziecka 1 zł.”

„Mój mąż często mi zarzuca, że przedkładam nad dziecko i dom ogród, że nieustannie myślę o jakichś zwierzętach, ale nie jest to oczywiście prawda, choć sprawa ogrodu ośrodek mnie absorbuje i nie bardzo znajduje czas na inne zajęcia”.

POLSKA = POKÓJ

kraje Afryki (uchwała konferencji w Ad'is Abebie), poszczególne kraje Ameryki Łacińskiej (Meksyk, Brazylia, Chile, Boliwia, Ekwador), gdy w maju z podobną inicjatywą w odniesieniu do Skandynawii wystąpiła Finlandia...

Jakież są zatem zalety polskiej propozycji? W czym tkwi źródło jej żywotności?

Próbowano „plan Rapackiego” określać różnie: jako klodę pod atomowe nogi, jako przerwanie atomowej licytacji... Jego największą zaletą jest to, że wprowadzi się z realizmu politycznego, że nie przeważa nuklearnych szal na ledną, czy drugą stronę. Idea stref bezatomowych ma być nie prosto początkiem końca śmiercionośnej broni. Będzie się więc do niej powracać zawsze wtedy, gdy przed oczyma stąć będzie obraz światła po eksplozji owych 250 tys. megaton, czy też już więcej, siły niszczycielskiej, z której w nuklearnych pociskach.

Myśl, która zrodziła się w Polsce, najbardziej przez wojnę doświadczona, jest naszym wielkim wkładem w dzieło obrony pokoju. Ale nie jedynym. Jesteśmy wszędzie tam, gdzie swoim głosem i przykładem, a także wrześniowym 1939 „memento” możemy przyczynić się do oddalenia od ludzkości wizji potwornej wojny.

„Polska polityka zagraniczna będzie polityką demokratyczną i opartą na zasadach zbrojowego bezpieczeństwa”. Słowa Manifestu PKWN każdy z dni, składających się na nasze dziesięćstoletnie przyoblekał w konkretną treść. Każdego dnia swoja postawa zdążywał się przyjacielom na świecie. Dziś słowo: „Polska” dla Europejczyka i Azjaty, dla Afrykańczyka i Amerykanina jakże często kojarzy się ze słowem: „pokój”. Myśle, że to najbardziej uzasadniony powód do dumy...

WFSŁAW BEK

KINO - CZŁOWIEK



Barbara Lass ze swym świeżo poślubionym małżonkiem.

Mamy już, jak naszym Czytelnikom wiadomo, własną narodową gwiazdę i to o międzynarodowym zasięgu. Gwiazdą filmową, oczywiście, czyli Barbarę Lass-Kwiatkowską. Poślubiła ona niedawno sympatycznego aktora austriackiego, wychowanego w Szwajcarii, Karlheina Bohma. Przed rozpoczęciem swojej kariery aktorskiej (35 filmów, m. in. „Sissi”, „Czterech jeźdźców apokalipsy”, „Rififi w Tokio”) Boehm pełnił funkcję asystenta reżysera. Teraz zamierza zrealizować swój pierwszy samodzielny film, rzecz jasna, z Basią w roli głównej.

Francuski tygodnik „Cine-monde” zamieścił na swych łamach wywiad z młodą parą, który pozwolimy sobie w celniejszych fragmentach przekazać Czytelnikom, jako że nasi wysłannicy nie będą w najbliższej przyszłości bawić zagranicą.

Młodzi małżonkowie poznali się w trakcie realizacji filmu „Rififi w Tokio”. Ale nie myślcie — mówi Barbara — że była to jakaś miłość od pierwszego wejrzenia. Nie podobnego. Kiedy mi przedstawił Karla pomyślałam sobie po prostu: Ten chłopiec ma oczy, za którymi na pewno szaleje dziewczyna. Ale ja nie dam się złapać.

— A ja — dodał Karl — powiedziałem sobie w duchu: „W tej dziewczynie nie ma nic nadzwyczajnego. Gwiazdeczka, jakich tysiące”.

I w czasie realizacji filmu, poza koleżeństwem nie lich nie łączyło. „Nawet nie flirtowaliśmy ze sobą” — stwierdzają wspólnie.

— Tego samego dnia — mówi Karl — odkryłem, że Barbara nie przypomina wcale innych gwiazdek, że ma wszystkie przymioty duszy słowiańskiej... bez cech ujemnych. I potrafił śmiać się z wszystkiego i z niczego.

W 18 miesięcy po tym odkryciu pobrali się. 22 kwietnia o godz. 10 min 30. Szczegół bardzo istotny — bo młodzi małżonkowie postanowili codziennie o tej właśnie godzinie pocałować się. Oczywiście, wtedy tylko, gdy będą razem. Bo Karl i Barbara mają za wiele poczucia realizmu, by wierzyć, że całe życie spędzą razem, wpatrzeni w siebie, trzymając się za ręce. Kariera aktorska — wymaga Basia — wymaga znacznych poświęceń. A żadne z nas nie ma zamiaru zrezygnować z nich. To nie miałyby zresztą najmniejszego sensu, i byłoby z pewnością zabójcze dla naszego małżeństwa. Karl podpisał kontrakt na kilka filmów w Stanach Zjednoczonych, a ja zostałam zaangażowana do Włoch. Bedziemy mieli okazję sprawdzić, czy potrafimy się kochać korespondencyjnie.

Na razie, młoda para udala się w trzytygodniową, wspólną podróż poślubną po USA.

Życzymy dużo szczęścia i sukcesów!

Wielu krytyków zwracało już uwagę na antropocentryczność współczesnego filmu.

Jest to zjawisko bardzo znaczne i godne głębszego zastanowienia. Znajduje ono wyraz zarówno w tendencjach filmu fabularnego jak i w tzw. cinéma-verité czy dokumencie. Zławsza cinéma-verité ma niezwykle istotne znaczenie. Człowiek jest tu pryzmatem przez który zostaje załamany obraz świata. Oko kamery śledzi nie tyle samą rzeczywistość ile tkwiącego w niej i tworzącego ją człowieka. A jednocześnie przez pogłębienie wiedzy o człowieku, o jego reakcjach, poglądach, marzeniach i kłopotach, otrzymujemy pogłębiony obraz świata, w którym żyjemy. Ale ośrodkiem uwagi i zainteresowania jest zawsze człowiek ze swoją prawdą i kłamstwem. Bo nie ma co ukrywać. Prawda jaką przynosi cinéma-verité jest rezultatem dialektycznej jedności prawdy i kłamstwa. I dlatego cinéma-verité jest znakomitym i autentycznym świadectwem współczesnych czasów, współczesnego człowieka.

W polskiej kinematografii trudno dopatrzeć się jakichś pełnych prób cinéma-verité. Pewne zalety tej tendencji tkwią słabiej w „Dwoch obliczach boga” Hofmana i Skórzewskiego a o wiele silniej w świetnym „Źródle” Jaworskiego.

Antropocentryczny charakter naszego dokumentu nie ulega zresztą żadnej wątpliwości. I to jak dotąd stanowiło o jego randze i znaczeniu. Znakomitym przykładem antropocentryczności jest twórczość Karabasa. Cinéma-verité draży, indaguje, niepokoi przedmiot swych dociekań. Karabas koncentruje się w ramach pewnego krótkiego odcinka czasowego, stara się ten odcinek podpatrzeć, stara się uchwycić to co jest najistotniejsze dla danego momentu, dla określonego wycinka życia ludzkiego. Karabas chce

odnaleźć człowieka w sytuacji. Człowieka przy trudnej i odpowiedzialnej pracy („Węzeł”), oddającego się swemu ulubionemu hobby „Muzykan ci”), człowieka dopiero coś zaczynającego („Pierwszy krok”) i dochodzącego do kresu „Jubileusz”. I znów okazuje się, że te cząstkowe zdawałoby się portrety prowadzą do uogólnień, że kryje się za nimi rzeczywistość prawdziwa o człowieku i świecie, w którym on żyje, pracuje, uczy się i muzykuje. Mimo odmiennej metody, w wypadku Karabasa i w wypadku cinéma-verité otrzymujemy w gruncie rzeczy podobne rezultaty. Zaczynamy lepiej rozumieć siebie i innych. Dzięki cinéma-verité uczymy się od czytelników, dzięki Karabasowi — patrzeć na nich.

Antropocentryczność, jest też jak wspominałam, zasadniczą cechą dzisiejszego filmu fabularnego. Oczywiście w tym ostatnim przypadku ma ona nieco odmienny charakter. Film współczesny, jak wiadomo, w coraz większym mierze odchodzi od anegdoty, od opowiadania zmyślonych i barwnych historyjek. Sprawy najważniejsze stają się analizą losu ludzkiego, psychiki i postaw moralnych. Filmowcy starają się sięgnąć w głąb istoty ludzkiej, unikając pewnych ułamywanych schematów. Chcąc szukać prawdy o człowieku prowadzi nawet do zacierania się granic rodzajowych. Zanikają w pewnym stopniu różnice między filmem dokumentalnym a fabularnym, operującym impropriety, podpatrzaniem, aktorem, który gra siebie. Film chce bowiem dotrzeć do prawdy o człowieku własnymi, niepowtarzalnymi w innych sztukach, środkami. W podejściu odpowiedzialności za losy współczesnego człowieka, za jego postawę, film zdaje się nawet wyprzedzać literaturę, która już od dłuższego czasu nie wydała żadnych dzieł godnych szczególnej uwagi. O ileż więcej materiałów do rozważań dostarcza twórczość Antonioniego, Felliniego, Viscontiego, Resnais, Bressona, Bergmana, Kurosawy, że wymienię tylko czołowe nazwiska. Można by śmiało powiedzieć, że w filmach tych realizatorów zawarto jakąś syntezę wiedzy o człowieku naszych czasów. Wiedzy żywej, szukającej, polemicznej, często gorzkiej i trudnej. Ale też wiedza o dzisiejszym człowieku i naszej epoce nie jest łatwa i prosta. Dlatego implikuje ona mnóstwo kierunków poszukiwań i penetracji. I tak na przykład filozofujący Resnais próbuje wniknąć w mechanikę psychiki ludzkiej, ujawnić sposoby odbierania i przetwarzania przez nas rzeczywistości, Antonioniego natomiast pasjonują głównie problemy postaw moralnych i sensu poczynań ludzkich. „Aktom bezprzykładnej odwagi” nazwał jeden z włoskich pisarzy Guido Piovene twórczość Antonioniego. Odwaga w poszukiwaniu i mówieniu prawdy. Problematyka moralna w szerokim znaczeniu tego słowa jest zresztą w chwili obecnej centralną dla światowego filmu i chyba najważniejszą. I wypada żałować, że tak słabe odzwierciedlenie znajduje ona w rodzimej kinematografii.

Wszystko to stanowiło dla mnie, Co gorsza, sądząc po najnowszych premierach, odchodzimy coraz dalej od analizy rzeczy ludzkich, właśnie w stronę fabulki, anegdoty, historyjki. Ludzie stają się tylko pretekstem a nie głównym obiektem. Niektóre próby podjęte w tym kierunku (np. Weekendy) są niestety nieautentyczne, oparte na wymyślonych z góry, literackich założeniach, a nie rzetelnej analizie rzeczywistości.

A przecież komu jak komu ale właśnie nam sprawy współczesnego człowieka winny być szczególnie bliskie, problematyka moralna szczególnie droga. Zresztą, nasza wykująca się w ogniu sprzeczności rzeczywistość jest świetną kopalnią tematów tego rodzaju. Ileż nowych zjawisk, pozytywnych i negatywnych rozkwitów w naszym kraju w ciągu minionego dwudziestolecia. Cheemy by i film polski pokusił się o pokazanie prawdziwego oblicza Polaka anno domini 1963. Sztuka filmowa stworzona została do odkrywania i mówienia prawdy o człowieku. Nie odbierajmy jej tego przywileju.

WYWIAD Z GWIAZDĄ

Dopiero znacznie później — wyjaśnia Barbara — zdałam sobie sprawę, że Karl nie jest wcale pozeraczem serc niewieści, lecz człowiekiem inteligentnym (zaleta niezwykle rzadka u młodych aktorów filmowych) i zdolnym do iscie dziecięcego entuzjazmu. I to mi się w nim najbardziej podoba.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

OGLĄDAMY na EKRAKACH

Tym razem omówienie aktualnych premier filmowych rozpoczynamy od... szczęśliwej trzynastki, a raczej „TRZYNASTEGO NOCA” — produkcji bułgarskiej, w reżyserii Antona Marinowicza. Ten niezły zrealizowany film kryminalno-sensacyjny z pewnością jest dobrym reprezentantem młodej kinematografii bułgarskiej mającej na swym koncie niewiele jeszcze dojrzalszych artystycznie dzieł. Fabuła utworu Marinowicza nie jest wolna od schematów i stereotypów cechujących wszystkie bez mała filmy kryminalne, a jednak opowieść o losach dwu braci, z których jeden jest szpiegiem może zainteresować widzów dzięki dobrej sprawnej reżyserii i ciekawym zdjęciom Trendafila Zachariewa. Realizatorzy nie ustrzegli się niestety, pewnych dłużyzn i miejscami zbyt powolnego tempa. Te mankamenty nie wpływają jednak ujemnie na ostateczne powodzenie „Trzynastego noca”.

Sezon letni trwa w pełni, obok pięknych dni bywają ciepłe ale również dziwne ospale, ponure. Podobnie jest chyba z filmami, które powinny być rozrywkowe, a są po prostu... nudne. Niewątpliwie należy do nich amerykańska komedia muzyczna w reżyserii Georgesa Abbotta i Stanley'a Dohena „CZEGO PRAGNIE LOLA”. Oczywiście fabuła tego filmu jest tylko pretekstem dla musicalu osnuto na komedynie muzycznej wystawianej przed 9 laty na Broadway'u. Niestety, mimo współreżyserii Stanley'a Dohena, autora „Deszczowej piosenki” i „Zabawnej buzi”, nie tym razem realizatorom „nie wyszło”. Nie powstał musical, ale dziwny konglo-

merat nudnej fabuły przetykanej bardzo przeciętnymi piosenkami i bardzo słabymi wykonawcami poza jedną świetnie tańczącą Gwen Verdon.

Dlatego też o wiele przyjemniej jest nam polecić obejrzenie dwóch francuskich filmów. „PODPISANO: ARSEN LUPIN” z Robertem Lamoureux, znanym już u nas z roli „gentlemana-włamywacza” w filmie wyświadlanym u nas przed kilku laty — „Przygody Arsena Lupina”. Aktualnie wyświadłany film w reżyserii Yves Roberta odmalowuje się sporym ładunkiem humoru sytuacyjnego, który przede wszystkim reprezentuje wymieniony Robert Lamoureux. Na pewno twórcy nowej serii przygód, słynnego bohatera powieści Leblanca, nie zrealizowali komedii, która byłaby idealnym fajerwerkiem świeżości, tempa i francuskiego humoru. Postać Arsena Lupina jest tak już wyeksploatowana, jak na przykład postać Tarzana, czy kapitana Fracasse. Pomimo pewnych łatwo dostrzegalnych, bo powtarzalnych scen sytuacji i scen, komedia Yves Roberta gorzej chociażby nad takim kiczem jak „Kapitan Fracasse”, przewyższa kulturą realizacji, groteską, umownością ujęcia tematu sensacyjnego, którą każdy widz dostrzeże i przychylnie przyjmie. Dodatkowym momentem, ale tylko reklamowym filmu „Podpisano: Arsen Lupin” jest słaba rola jaka odgrywa popularna Alida Valli.

Czołówkę z nazwiskami słynnych gwiazd posiada również film reż. Michela Boisronda „SLAWNE MIŁOŚCI”. Scenariusz filmu napisał France Roche na podstawie



Robert Lamoureux w filmie „Podpisano Arsen Lupin”.

ilustrowanych historyjek publikowanych w dzienniku „France-Soir”. Filmowi Boisronda, autora „Paryżanki” nie brakuje znanych nazwisk aktorów, wśród których są: Brigitte Bardot, Dany Robin, Simone Signoret, Annie Girardot, Marie Laforet. Ich partnerami są: Jean Paul Belmondo, Alain Delon, Pierre Brasseur, Jean Desailly. Ta filmowa składanka nie należy do utworów, które by dorównywały poziomowi takich filmów nowelowych jak chociażby „Francuzka i miłość”, w którym jedną z nowel „Dziewięć” realizował autor omawianych „Sławnych miłości”. Reż. Boisrond w swo-

im filmie daje jednak widzom okazję do filmowego obezwinnienia ze znanymi aktorami, reprezentującymi sporo ciekawego aktorstwa.

Momentami nieznośne są fabulki czterech nowel, których schematy wzięto z dzieł wspaniałowieszczych powieści francuskich. Przyjmując fabule, jako li tylko pretekst do zaprezentowania popularnych gwiazd filmowych, można się zgodzić na taką filmową maskaradę, proponowaną w „Sławnych miłościach” reż. Boisronda.

O innych premierach letniego sezonu, oby tylko nie ogórkowego, zapoznamy Czytelników innym razem.

EKRANIK

Jeden ze znanych działaczy ruchu odnowy filmu amerykańskiego, wykładawca teorii filmu na wyższych uczelniach Stanów Zjednoczonych, prof. Robert Gessner, który przebywał w Polsce jako stypendysta „Fundacji Forda” odwiedził m. in. Państwową Wyższą Szkołę Teatralną i Filmową w Łodzi. Oto niektóre z jego uwag opublikowanych w wiosennym wydaniu kwartalnika „Sight and Sound”. „Przebywałem ze studentami tej szkoły przez trzy pełne tygodnie. Bez żadnych zastrzeżeń mogę stwierdzić, że wymogi jakie obowiązuja przy przyjęciu na tę uczelnię, w trakcie nauki i podczas egzaminów końcowych są wyższe niż w jakiegokolwiek innej uczelni. Jednym z wielu czynników, które tak decydująco wpływają na poziom nauczania, stanowi metraż własny filmowej nakręconej przez studentów. Student polskiej uczelni filmowej zużywa więcej taśmy niż wydział operatorski w USA. Szkoły Filmowej w Paryżu, czy Centro Sperimentale w Rzymie zużywają łącznie w ciągu jednego roku.

„Dziennik Niny Kostiernej” o publikowany w czasopiśmie „Nowy mirt” zainteresował reżyserów filmowych. Młoda dziewczyna pisze o sobie, o swoich przyjaciółkach, o chłopcu, którego kochała nim zgłosiła się jako ochotniczka na front. Obecnie w Wytwórni „Lentim” trwa przygotowanie do zdjęć filmu opartego o „Dziennik Niny Kostiernej”. Film reżyseruje L. Kwinihida wg scenariusza L. Szlepianova.

Brytyjska Akademia Filmowa przyznała nagrody za filmy wyświetlane w 1962 roku. Pierwszą nagrodę otrzymał reżyser David Lean i aktor Peter O'Toole za film „Lawrence z Arabii”. Za najlepszą aktorkę zagraniczną uznano Annę Bancroft w filmie „Cudotwórczyni” wyświetlanym u nas na Festiwalu Festiwalu Filmowych. Najlepszą aktorką w filmie brytyjskim uznano Leslie Caron za rolę w filmie „Pokój w kszalcie lity L”. Za najlepszy film krótkometrażowy uznano francuski film „Most na rzecz Sowiet”. Najlepszym filmem animowanym okazał się „Jabłko” wyświetlany między innymi na tegorocznym Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Kijowie.

W ciągu ostatnich trzynastu lat największą frekwencją we Francji cieszyły się następujące filmy: „Ben Hur”, „Wojna guzików”, „Najdłuższy dzień”, „Gdy mi opowiedziano o Wersalu”, „Most na rzecz Sowiet”, „Niebezpieczne związki”, „Czarny Orfeusz”, „Dziła Nawrony”, „Oszuści”, „Powrót Don Camillo”.

A. N.

LUDZIE ULICY PIOTRKOWSKIEJ

I.

„To człowiek ulicy, człowiek z bruku...” mówiono jeszcze w czasach mojego dzieciństwa chcąc obrazić najmocniej, najdotkliwiej. „Uliczna dziewczyna”, „Ulicznik” były to nazwy o treści obelżywej, świadczącej o zupełnej klęsce nazywanego lub nazywanej. „Jestem skończony” wołał do mego ojca właściciel splajtowanej fabryki. „Została mi już tylko ulica...”. A ja patrzyłem ze zdumieniem na tego grubasa ze złotym łańcuszkiem na brzuchu — cóż on zamierza na tej ulicy robić? Ulica była przedostatnim kregiem mieszczańskiego piekła — niżej było już tylko więzienie, kostnica i prosektorium...

A przecież była i w tych najdawniejszych dla mnie latach ulica, którą się chlubiło: „A w niedzielę Panie tośmy po Piotrkowskiej chodzili!” mówił stary majster od Gayera i pokazywał czarny melonik i wisiówkę laseczkę — ekwipunek tamtej niedzielnej drogi.

Pragnąłem Piotrkowskiej od pierwszych chwil — obiecywano mi niedzielny spacer po tej ulicy jako nagrodę za posłuszeństwo, ja-

ko krodek uciszenia płaczu — milkłem i w ławej przestrzeni wyobrażałem sobie olbrzymie szare domy, dzwoniącą żółtą katedrę, szerokie tafle trotuaru.

Głupcami są ci, którzy upierają się, że nie można kochać muru, ścian, wysokich, połyskliwych okien, głupcami i nędzarami uczuć biedniejszymi od najbiedniejszych z tych, którzy wyciągają rękę stojąc pod mur. Dzisiaj, gdy patrzę przez okno z czwartego piętra na ulicę Piotrkowską, na martwą i żywą naturę, na wystawy sklepów, drgnący neon i ruchliwe figurki przechodniów pragnę skreślić wszystkie słowa, które czytacie. Niczego nie zdołałem wyrazić — ulica nie jest obrazem, jest długą drogą, której końca nie zobaczysz z okna. Mogę jednak zejść po schodach i stać się jedną z małych widzianych postaci, mogę włączyć się w ich rytmiczny ruch.

II.

Dużo i dobrze o Niej pisano, a przecież mało w sto-

Dalszy ciąg na str. 8



Ulica Piotrkowska

Fot. J. Korpala

RECENZJE CZASU

Dalszy ciąg ze str. 1

Nie jest moim zadaniem pisać recenzji o tych powieściach. Nie chcę również odpowiadać na pytania, w jakim stopniu autorzy ci przelamują tradycyjne (reymontowskie czy orkanowskie) konwencje powieści o wsi. Ze przelamują, świadczy najdobitniej „W słońcu” Juliana Kawalca. Felieton ten piszę w atmosferze nadchodzącego święta lipcowego. W atmosferze okazjonalnych podsumowań i rozrachunków. Na przykładzie ostatnich powieści o wsi chciałbym pokazać w jaki sposób pisarze ukazali przemiany zachodzące w Polsce. W jakim stopniu rzeczywistość polska znalazła odbicie w literaturze. Można się sprzeczać o to, czy powieść jest „dobrym narzędziem wiedzy o faktach”, że o życiu społecznym lepiej i dokładniej powiedzą nam inne rodzaje i gatunki piśmiennictwa czy nauki. Ze te gatunki (prasa, radio etc.) „odebrały powieści wiele atutów”. Ale to nie przekreśla faktu, że powieść może być i dziełem sztuki i „wiernym obrazem obiektywnej rzeczywistości”. W ostatnim czasie obserwujemy zjawisko powrotu do tematyki współczesnej. Coraz więcej pisarzy podejmuje ciekawą i frapującą tematykę przemian zachodzących w naszym kraju.

2

To nie jest książka o opłotkach wiejskich. Bohaterowie „Pożegnania i powrotów” Alojzego Srogi nie są przywiązani do ściśle określonego granicami świata wsi. Jeszcze ta wieś jest tradycyjna, jeszcze ze wszystkimi swoimi starymi urządzeniami, świt ją zastaje w ogniu zapiekłych nienawiści klasowych i sąsiedzko - rodowych, ale już pojawiają się na niej nowi bohaterowie. Jeszcze „Sokół” masakrują ludzi, sto dziewięćdziesiąt cztery trupy we wsi Wierchowiny, dzieci, starcy, kobiety „za PPR-owskie sympatie, za synów służących w milicji, za ojców wojujących z Niemcami w „czerwonej

partyzantce”, jeszcze pożary, morderstwa, płacze, ale już rodzi się to, co nazywamy nowym, oficer chłopski Zwolak, któremu bandyci zamordowali ojca, przychodzi na wieś z dekretem PKWN o reformie rolnej. Pójdzie i zamojski majorat pod sznurek i kij, i Zwolak cieszy się, że nie za morgi szedł walczyć, chociaż na te morgi dawno już zarobił. „Z pracy, ze zwykłej, ludzkiej, nie boskiej sprawiedliwości nam się należały”. „Pamiętacie ubiegły lipiec? — zwraca się do byłych formalni. — Wtedy na białych wielkich plakatach w Manifeście Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego pisało o ziemi dla chłopów... Pisało także o równości wszystkich ludzi pracy. O prawie do nauki i zajmowaniu stanowisk przez robotników...”. Podobną scenę znajdujemy u Jarochońskiej: zarówno u Srogi jak i u Jarochońskiej występuje delegat „nowego” — w

„Pożegnaniach” oficer, chłop, u Jarochońskiej pełnomocnik rolny. Obydwie sceny są głęboko wzruszające. Tu i tam słuchają przemówień chłopów, formale, nawet porządek akcji jest bezwiednie podobny. Mniej lub więcej podobne sceny rozgrywały się zresztą wtedy we wszystkich dobrach „pańskich”. Na pierwszym planie występuje chłop z synem, ojciec i syn słuchają chętnie słów o ziemi i o sprawiedliwości (stał ten chłop zapatrzony, zasłuchany w trybunę w słowa z niej padające). Legendy czarne i różowe towarzyszyły tym dniom i tym scenom. Wymordowano ludność nie jednej tylko wsi Wierchowiny, zabito ojca nie tylko Zwolaka, ale mój ty sprawiedliwy Boże, jeśli takie musiały być koszty reformy?... „My, my, chłopie, płacić musimy za reformę, za każdy pokrojony dziesiętek hektarów życiem swoich najbliższych”.

Alojzy Sroga pokazuje w „Pożegnaniach i powrotach” czas najbardziej tragiczny: wojnę domową, i czas niezwykły: narodziny sprawiedliwości. Kim są bohaterowie „Pożegnania”, z jakich środków się wywodzą? Czy to nie ci sami, którzy przed wojną bezskutecznie dopytywali się o chleb, o sprawiedliwość i bezskutecznie upominali się o wartość człowieka? „Jakie to straszne! — woła jeden z autorów „Pamiętników bezrobotnych” — Dlaczego tak jest? Pytam się was wszystkich, którzy będziecie to czytali — odpowiedźcie mi. Czy dlatego, że może obniżyła się wartość człowieka? Czy dlatego, że go kto wziął w posiadanie?... Nie mogę dalej pisać — czuję, że gdybym dalej pisał, to bym oszalał...”.

To jest metryka Zwolaka, człowieka „bez wartości”, którego „nobilizowano, któremu przywrócono godność człowieczą”. Pisarz ukazujący walkę o nowy ład społeczny daje już w ten sposób wyraz własnym przekonaniom politycznym. Ale

„Pożegnania” są książką polityczną, na sposób jeszcze bardziej oczywisty. Tkwi ta polityka w życiorysie Zwolaka. Tkwi u dna jego poczynań, jego klęsk, tragedii, miłości. Proces dojrzewania Zwolaka nie zakończył się z zamknięciem ostatniej strony powieści. W „Pożegnaniach” nikt nie jest narysowany „raz na zawsze”. I portret Zwolaka nie jest również zakończony. Awansuje tego byłego oficera Batalionów Chłopskich nie są związane li tylko z jego osobistymi uzdolnieniami do wody, ani nie stanowią też nagrody za wierną służbę. Zwolak (i jemu podobni) awansują także wewnętrznie. Z każdym dniem dojrzewają, politycznie i moralnie, i ukazanie tego procesu, tak ciekawego i charakterystycznego dla pierwszych trudnych lat powojennych w Polsce nie było zadaniem łatwym, a przecież autor „Pożegnania i powrotów” wywiązał się z niego znakomicie.

3

Zaś Julian Kawalec pisze dostojnie o czasie dzisiejszym. Na miejscu wsi postanowiono zbudować miasto. „Stary” (bohater powieści) mówił — nad tą wsią stała się wsią. Jednego dnia przyjechało dwóch z miasta. Ludzie najpierw się schowali, a później wyszli. Ci dwaj powiedzieli, że muszą się przypatrzeć wsi, bo będzie się robić pomiary, bo tu stanie miasto, a wieś się rozwała.

W ten sposób powstała Nowa Huta, Nowe Tychy. Taki (można przypuszczać) będzie początek wielu ośrodków przemysłowych. Tak będzie powstawać nowe Belchatów. Julian Kawalec opowiada o narodzinach jednego z tych miast, które już powstały i które będą powstawać. Miasto więc budowało się na polach starej wsi. Przyjechały koparki, zaczęły równać ziemię, zasypany parowy. Plugi przyorywały drobne

pamiętki, ludzkie tęsknoty. Spychacze równały pola i głęboki parów też został zasypany, nawet konie (mówił Stary), które spłoszyły się i wpadły do parowu, również zasypano, bo te pola i ten parów miały stać się jednym placem budowy. A te konie leżą może pod tym dużym blokiem, albo pod kinem, a może pod Ulicą Młodzieży. „Teraz byś nie rozpoznał, gdzie był ten parów, bo na calych polach jest miasto”. Wic nie nie pozostało z dawnego i niektórzy chłopcy wzięli pieniądze za swoją ziemię i swoje domy i poszli na osiedlenie. „Wielu ze wsi zostało w mieście i nauczyło się inaczej mówić i chodzić, bo w mieście inaczej się chodzi. Tylko w tej kepte można sobie jeszcze mówić i chodzić po dawnemu”. Inni, jak Stary, zostali, ale nie z dobrej woli. Los ich do tego zmusił. Nie mieli sił odejść i nie mogli się przyzwyczaić do miasta, które wyrosło na wsi. Nie rozumieli miasta, nie rozumieli nowego, które nadeszło, nie mogli „unieść naporu i siły rodzącego się czasu”. I na tym tle powstawały coraz to inne konflikty, a nawet tragedie. „Gdyby tak zrobili, jak chciała Korbielowa, to byłoby i miasto i fabryka, i wieś. Byłoby trzy rzeczy, a tak są tylko dwie — miasto i fabryka, a wsi nie ma”. Powstało miasto, nowy świat, nowe porządki, nowa nauka chodzenia i mówienia.

Co to jest krajobraz wsi? To nie tylko rzeka, i zielony las, i chałupy pod strzechą i wyleniałe żyto, i owoce. Teraz w tym starym krajobrazie pojawił się nowy element — miasto. Ale nie jako motyw dekoracyjny, nie ornament, lecz coś, co organicznie wtopione jest w starą materię i co tę materię przeobraża i zmienia. Miasto (jak w powieści Koguta) przez duże M. Ono staje się teraz symbolem nowego. I nie miasto tradycyjne, ze starymi układami społecznymi, lecz Miasto Nowe, z instytucjami, które wiążą ludzi w promieniu dalszym niż granice miasta, które docierają na wieś, zacierają różnice społeczne między wsią i miastem. I nawet wtedy, kiedy miasto

nie wysła swoich inżynierów na wieś, kiedy plugi nie zaurują wsi, aby na tym miejscu powstało nowe miasto, wieś jest poddana tym wpływom, traci swój tradycyjny charakter, zaczyna tracić również swoje „racje dawne definicje wsi”.

Kawalec daje piękną wizję tego rodzącego się świata. Opowieść Starego o umierającej nadrzecznej wsi i powstawaniu miasta (dla Starego, ale nie tylko dla Starego był to czas, kiedy życie upływało w stokrotnym jakby natężeniu i kiedy rozgrywała się wojna uczucia z rozumem) ta opowieść nie mówiła przecież o mechanizmie przemian — powiada o naszym świecie więcej niż nijakim traktat.

4

Nie ma już prawie w Polsce wsi, która by nie miała swoich inżynierów, nauczycieli, lekarzy, około trzystu tysięcy osób uzyskało po wojnie wyższe wykształcenie, a około miliona średnie. Kraj nasz od ogłoszenia Manifestu Lipcowego stał się widownią głębokich przeobrażeń, zmieniają się z dnia na dzień krajobrazy, dojrzewają ludzie, wyrastają na oczach nowe miasta, to ciekawe (i pełne konfliktów) życie znajduje coraz silniejsze odbicie w literaturze, w twórczości naszych prozaików i poetów. Morton, Piętał, Sroga, Kawalec, Goździkiewicz, każdy z nich na swój sposób odkrywa ojczyznę. Jeszcze na wsi spotykamy stare drogi, jeszcze tu i tam jesienią wozy grzęzną w błocie, jeszcze gdzieś błyska lampa naftowa, są domy, po ścianach których spływa wilgoć, jeszcze widać strzechy — ale to już nie to samo życie, co kiedyś, kiedy żalili się starzy chłopcy, że „wiele, wiele jest takich rodzin co chleb pieką tylko w żniwa zaraz z nowego, a później tylko na wielkie święta... a dziecku do szkoły zamiast kawałka chleba daje matka parę kartofli pieczonych”, nie to samo życie, co nawet przed piętnastoma laty, nie bieda, nie nędza, nie poniewierka, i nie zagubiona wartość człowieka.

TADEUSZ PAPIER

str. 4

odgłosu



Pomnik-gigant w Lipsku — wystawiony dla upamiętnienia „bitwy narodów”.

Zamówiony dla mnie przez uczynnych berlińskich gospodarzy hotel w Lipsku wznosi się tuż naprzeciw dworca kolejowego. Przechodzę ulicznym tunelem pod ruchliwą w tym miejscu jezdnią z torami tramwajowymi i już jestem na miejscu. Połem wizyta u energicznej pani Oelschlägel, która jest dyrektorem lipskiej „Konzert-und Gastspiel-direktion” (odpowiednik naszych wojewódzkich przedsiębiorstw estradowych) — i rozpoczynam swą pięciodniową wędrówkę po tutaj przybytkach leższej muzy.

Jestem już „normalnym” turystą, zwiedzającym obcy kraj na własną rękę, ponieważ większość innych delegacji zagranicznych, w tym nasz sympatyczny Austriak, wróciła do swoich krajów wprost z Berlina demokratycznego. To daje mi swobodę ruchów i pozwala poznać już nie wybraną na pokaz dla zagranicy czołówkę sołistów — jak było na przeglądzie w Berlinie — lecz niemiecką estradę „na codzień”.

Przypadek zrzucił, że pierwszego wieczoru w Lipsku obejrzałem znaną jednak i w Polsce, przyjeżdżającą francuską rewię na lodzie. „Paris sur glace”. Popołudnie następnego dnia spędzam jednak już w kabarecie „Eden”, na jednej z urzędzanej tam również i w dni powszednie „popołudniówek”. Jest to typowy dla kabaretów niemieckich programik Varieté, bardzo przeciętny, ze starszymi, nieatrakcyjnymi aktorami. Toteż przyglądam się nie tyle znanym mi już z lepszego wykonania w Berlinie „numerom” żonglerki i uprawianej u nas w cyrkach akrobatycznej jazdy na rowerze, ile publiczności.

Przy stolikach, przy filiżance czarnej kawy i ciastku albo szklanceczce owocowego soku — oklaskują dość słabą piosenkarczkę grupki starszych pań i paru (miejscowych) starszych panów o wyglądzie emerytów. Dowiaduję się, że na te popołudniówki w kabarecie przychodzi właśnie taka emerytalna publiczność, różni renciści i swobodniejsze w godzinach popołudniowych starsze panie domu, ponieważ ceny wstępu o tej porze są znacznie niższe, a potrzeba tego typu rozrywki jest w dużych miastach dość powszechna. Część tej publiczności, to mieszkańcy okolicznych miasteczek i wsi, przybyli po zakupy do Lipska i korzystający z okazji spędzenia wolnego popołudnia w sposób „wielkomiejski”. Ta publiczność w kabarecie nie tańczy.

Za to tańczy — a w przerwach przygląda się programowi rozrywkowemu — publiczność wieczorowa. Przeważnie znacznie młodsza, lepiej ubrana i posiadająca więcej pieniędzy. Drugi z lipskich programów kabaretowych w nocnym Tanz-kabarecie „Tivolii”, był ciekawszy, choć też bez rewelacji. Para ekwilibrystów (widziana na przeglądzie w Berlinie), dość atrakcyjna para taneczno-muzycznych parodystów, taki sobie konferansjer, trochę śpiewu i trochę w miarę dawkowanej kobiecej nagości w większości numerów.

Nie grzeszył też inwencją

TADEUSZ SŁUPECKI

Podróż do krainy VARIÉTÉ^(II)

program „Steintor-Varieté” w Halle — 40-paru tysięcznym mieście w pobliżu Lipska, które to Varieté należy w NRD do pięciu dużych, stałych teatrzyków tego typu (pozostałe są w Berlinie demokratycznym, w Lipsku, Magdeburgu i Karl-Marx-Stadt). Po doskonałym programie berlińskiego „Friedrichstadt-palast-u” z jego baletową „Historią tańca”, program w Halle rozczarował, pomimo szeregu niezłych numerów estradowych. Zabrakło w nim jednak ogólnej koncepcji, zabrakło dobrego dowcipu i satyry, wskutek czego był on przypadkową składanką typu Varieté, co jest zbyt małym osiągnięciem jak na doskonałe pod względem technicznym wyposażony, stały teatr o niezłych już w Niemczech tradycjach i imieniu.

W wolny czas, którego tu mam więcej niż w Berlinie, zwiedzam miasto. To przecież tu odbywają się słynne na cały świat „Targi Lipskie”, ścigające — pomimo nieuznawania NRD przez mocarstwa zachodnie — kupujących i szukające klientów firmy z wielu krajów, także pozaeuropejskich.

W przeciwieństwie do Berlina, w Lipsku czuje się już prawie jak w rodzinnej Łodzi. Pogodniejsi mieszkańcy, ciasniejsze ulice, stare domy i nawet jakieś bardziej „swojskie” w wyglądzie wystawy sklepów.

Na ulicach — rozkopy, na wielu budynkach rusztowania. To zapobiegliwe władze miejskie Lipska wykorzystują okres przed targami letnimi na generalny remont sklepów i wielu budynków handlowych. Pomimo tego, w czynnych nadal państwowych domach towarowych i sklepach prywatnych — ożywiony ruch. Kupujących ściga tu z okolicznych miast dobre zaopatrzenie w atrakcyjne towary. Przybywają też stale wóciutki zagraniczni.

Dwóch mówiących na ulicy po polsku rodaków z takiej właśnie wycieczki informuje mnie życiłem, że w całym Lipsku są podobno jedynie dwie rzeczy, godne uwagi cu-

dziwolema; pomnik ku czci poległych w „bitwie narodów” i damskie koronki.

Koronkami się nie interesuję, więc najbliższe wolne przedpołudnie poświęcam pomnikowi. Völkerschlachdenkmal — pomnik wystawiony przed pierwszą wojną światową dla upamiętnienia „bitwy narodów”, stoczonej pod Lipskiem w r. 1813 z Napoleonem przez wojska niemieckie i rosyjskie — to rzeczywiście coś imponującego i jedyne w swoim rodzaju. Już z daleka przyciąga wzrok olbrzymia budowla z bloków skalnych, wysoka na 91 metrów, zakończona u góry otwartym tarasem. Idzie się tam długo i żmudnie po krętych stopniach, wewnątrz coraz bardziej zwężających się kamiennych korytarzy ale co za widok z góry! Małeńkie kopczyki tysięcy grobów, szachownica cmentarzy żołnierskich z ubiegłego wieku, oddzielonych od siebie przez rosnące w prostych liniach drzewa, podobne z góry do ciemnozielonych kropek. Jest lekka mgła, z domów po drugiej stronie drogi snuje się dym, nastroi kadzidlano-cmentarny. Nie mać go nawet pełznący drogą w dół, mikroskopijny z tej odległości, jak w dziecinnej zabawce — żółty tramwaj Völkerschlachdenkmal. Pomnik poświęcony pamięci ofiar wojny sprawiedliwej, obrończej. Mimo to w głowie rodzi się zgrzyliwa re-

niska pań, nieco zachrypnięta. Nic dziwnego — co godzinie wchodzi tu nowa grupa zwiedzających, którym trzeba pokazać wnętrze pomnika, jego dominujące, wielometrowe rzeźby, podać czas powstania, wagę i wymiary każdej z nich, ilość cementu i materiałów budowlanych, zużytych na budowę pomnika giganta a nawet ilość wiodących na jego szczyt stopni. Dalej trzeba krótko powiedzieć o epoce napoleońskiej i sytuacji politycznej ówczesnych Niemiec z nawiązaniem do sytuacji obecnych. Wreszcie zachrypnięta pań stara się jeszcze zademonstrować zwiedzającym, swoim własnym zachrypniętym głosem, jak w tym pomniku-gigancie funkcjonuje odbijające jakis dziwny jej przyspiew — echo. Wszystko za niewielką opłatą z typowo niemiecką dokładnością i pedanterią — tym razem jednak klóca się z wagą miejsca, gdzie wykożano groby dla dwudziestu tysięcy zabitych..

Najelegantszy w Lipsku „Tanzbar” mieści się tuż obok mego hotelu. Jest dopiero godzina 21, a na drzwiach baru już wisi napis: „Z powodu przepełnienia — zamknięte”.

Pukam do oszklonych drzwi. Otwiera je na szerokość

rosyjskiego szampana! Pytania, odpowiedzi. Wreszcie muzycy wstają, przepaszają. Są podczas pracy, muszą wracać na podium dla orkiestry, bo publiczność się niecierpliwi.

Lokal ma miłe, nowoczesne wnętrze, z małą estradą dla orkiestry i niedużym parkietem do tańca. Jest przerwa. Przy stolikach przeważa zdecydowanie młodzież. Ubrana przyzwoicie, sporo parok, są jednak stoliki obsadzone wyłącznie przez mężczyzn lub same kobiety. Nie brak studentów i studentek, uczesanych na „chłopczyce”. Trochę później, tańczę z jedną z nich. Dziewczyna studiuje na IV roku historii sztuki, pochodzi ze wsi z okolic Lipska i otrzymuje od państwa stypendium — 200 marek miesięcznie. To dużo. Grający w tym lokalu muzycy zarabiają po 1.000 marek miesięcznie.

Orkiestra gra z zacięciem i na ogół nowsze, niż w wielu innych poznanych przeze mnie w NRD lokalach — melodie.

Pozostawiony przez grających muzyków własnej przemyślności, usiadłem na wysokim stoliku przy barze, za którym krzątała się fertyczna barmanka. Ale niedługo tam pozostałem. Widocznie tańczące z mną dziewczyny

mowy przy barze zaprosił mnie na urlop do siebie. Zawałem się z odpowiedzią, więc spytał:

— Co, nie ma pan ochoty na obejrzenie Niemiec zachodnich?

— Owszem — odparłem, ciągle zaskoczony tą nieoczekiwaną gościnnością. Ale to nie taka prosta sprawa.

Nagle nabrałem ochoty na bliższe poznanie tego towarzystwa. Zrobiono mi skwapliwie miejsce przy zastawionym butelkami stoliku, przy którym siedział jeszcze jeden mężczyzna, dia odmiany z NRD, a po chwili wróciła także z partietu atakująca mnie uprzednio para. Chemik nr 2 przesiadł ze stołu do faceta z NRD i przez sporą chwilę konferował z nim poufnie. Odniosłem wrażenie, że zdawał mu relację ze swojej ze mną rozmowy przy barze. Połem przesiadł się do mnie i wspólnie z chemikiem nr 1 zaczęli wypytywać o Polskę, o wrażenia z podróży po NRD. Z ich własnych wypowiedzi wynikało, że odnoszą się krytycznie do Hlllerowskiej przeszłości Niemiec. Nagle rozmowa znów nabrała nieco dziwnego tonu.

Chemik nr 2: — Pan pisze, prawda? U nas w Niemczech zachodnich mieszka jeden polski literat. Czytałem jego książki o Polsce, tłumaczone na niemiecki. Zaraz, jak on się nazywa? Aha, Glas-ko, Zreszta, może źle wymawiam, lepiej panu napisze.

Ja (patrzac na papier) — A to Hlasko. Owszem, był taki. Ale wyjechał za granicę i zerwał ze swym krajem.

Chemik nr 1: — To właśnie ten. Teraz mieszka u nas...

Chemik nr 2: — A pan, to całkiem dobrze mówi po niemiecku. Mógłby pan u nas także nie tylko swobodnie sobie pisać, ale i sam siebie tłumaczyć...

Nagła cisza. Wszyscy przy stoliku patrzyli na mnie. Teraz już nie mam wątpliwości co do ukrytego celu tej znajomości, zrozumiałem też niejasności i niedopowiedzenia przy barze.

— Przecież pan całkiem poprawnie mówi po niemiecku... — powtórzył chemik nr 2.

— Ale myślę po polsku — odparłem.

— Zim wohle! Na zdrowie wszystkich obecnych przy tym stoliku, którzy na pewno jednakowo pragną żyć i pracować w pokoju! — szybko wzniósł pojedynczy toast chemik nr 1.

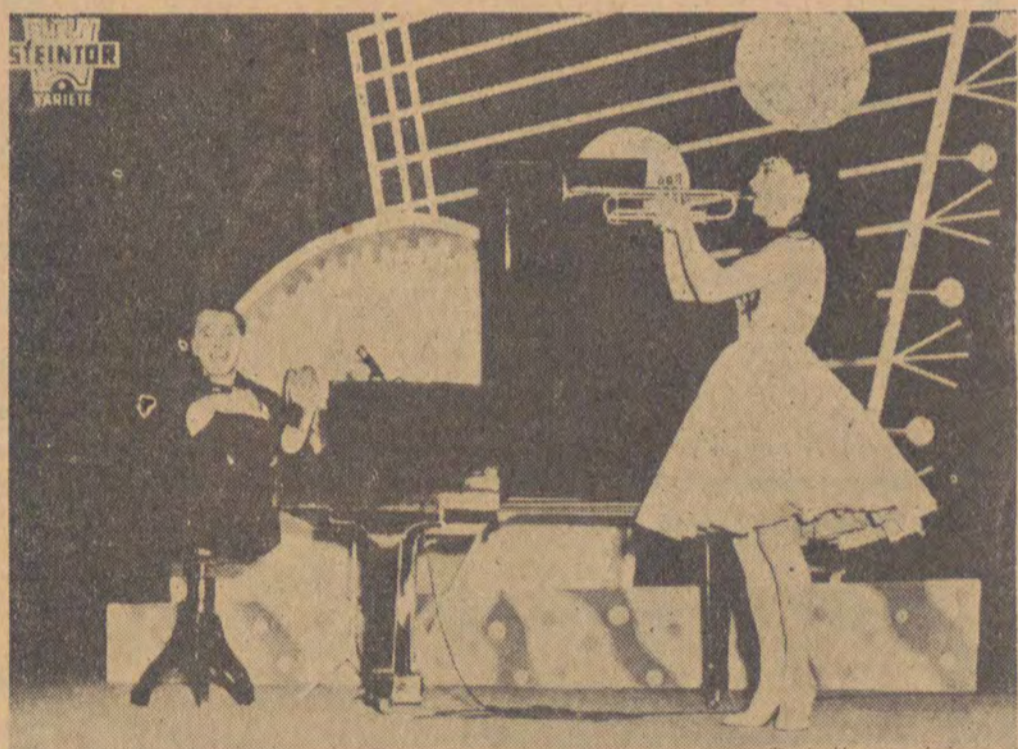
Następnego dnia po przygodzie z chemikami z NRF — świadomymi lub mimowolnymi emisariuszami „tamtej strony”, próbując mimo granic politycznych swych namiętnych już dzieł chwytów „werbowania” ludzi na przejściowym terenie styku dwóch światów — pojechałem do Altenburga.

Jest to miasto powiatowe, odległe od Lipska o godzinę jazdy samochodem. To tu ma odbyć się przedstawienie „Wielkiego programu” wystawione przez obiadkowy zespół estradowy Gastspiel-direktion z Lipska. Imoreza ta ciekaw mi nie szczególnie, ponieważ w kraju zajmuje się opracowaniem programów podobnych do zespołów Estrady Łódzkiej.

W miejscowym domu kultury, gdzie znajduje się jedyna tutaj sala teatralna, aktorów jeszcze nie ma. Po południu mieli występ w innym miasteczku i w Altenburgu będą dopiero za pół godziny. Wychodzę więc na spacer.

Miasteczko jest podobne w typie do naszych miast powiatowych, słabo oświetlone, dość nielkie w wyglądzie, tyle, że bardziej czyste. Wystaw sklepowe nie miała tu już elegancji Lipska czy Berlina, to samo dotyczy reklamowanej w otkrach odzież i bielizny. To już jednak prowincja. I — podobnie jak często u nas — prowincjonalny gust w obsłudze klienta. Albo, przystosowanie się do

Dalszy ciąg na str. 6



perialistycznych dysponentów wojen.

Ale czas wracać. Schodzę na dół znowu po setkach kamieniczych stopni. Upřednio wykupiłem i dałem do skasowania bilet wstępu, mam więc teraz prawo do objaśnienia przewodnika. Jest nim

mojej rodzinnej Łodzi, na gościnnych występach wraz z niemieckim zespołem estradowym i zaprosił mnie na rewidzite. Jednoręki kiwa głową, wola kierownika orkiestry. Po chwili siedzę już przy stoliku muzyków.

chemików i „poderwana” przez niego dziewczyna z Lipska. Odmówiłem. Po chwili na ich miejscu, z tą samą propozycją, wyrósł drugi chemik także z NRF. Wysoki, młody człowiek, jak się przedstawił — asystent uniwersytetu, i po kwadransie roz-

ZAKOPANE i SŁOŃCE

Dalszy ciąg ze str. 1

bywających do Zakopanego tylko 25 proc. stanowią ludzie, spędzający tu urlop, cała reszta wpada tylko na kilka dni, że nadal do Zakopanego przyjeżdża bardzo mało robotników (około 30 proc. wszystkich wczasowiczów), że sam ośrodek zakopiański jest ośrodkiem bardzo słabo wykorzystanym.

Oprócz domów wczasowych (około 3000 miejsc) pełno tu domów branżowych związków zawodowych, (nauczycieli, hutników, górników, energetyków itp.), wiele sanatoriów, których rozwój przed stu laty zapewnił słynny miłośnik góralszczyzny, dr Tytus Chałubiński, że działa w Zakopanem i „Orbis” i PTTK, że w miarę swych możliwości zdzierają z przybysza skórę prywatni posiadacze pokoiów do wynajęcia i kwatery.

Wszystkie ten instytucje organizujące wczasy i żyjące z turystyki, rozbudowują stale swój stan posiadania: przy ul. 15 Grudnia np. wstawanie niedługo wielki dom wczasowy FWP na 150 miejsc kosztem 25 mln. zł, na stoku Gubałówki — wielki ośrodek związkowy, w którym i lodzcy włóknianicy mają mieć swój udział, na rogu Sienkiewicza i Kościuszki — obiekt Zw. Pracowników Państwowych, wiele nowych obiektów wzniesiono i niektóre z nich... wykończono z racji FIS, bada się możliwości rozbudowy sanatoriów, chociaż dochodzą ostatnio i takie głosy, że dr Chałubiński pomylił się co do właściwości klimatycznych i leczniczych Zakopanego, że to co powiedział o Zakopanem i gruźlicy to było... dawno i nieprawda.

Więc do Zakopanego przyjeżdża nadal zbyt mało robotników, choć powietrze tutaj idealnie odwieża płuca ludzi pracujących w pyłach i dymie, choć np. z Łodzi jest już w tej chwili do Zakopanego tylko 6 godzin drogi (3 godziny pociągami pojeżdżamy do Krakowa i 3 godz. autobusem Kraków—Zakopane). A robotników przybywa tu mało nie tylko z powodu trudności z uzyskaniem skierowania wczasowego, ale i dlatego że wielu ludzi w kraju do Zakopanego zraziło się. Wszystkie bowiem wycieczki z fabryk, hut i kopalni przyjeżdżają tu w tzw. wielkim sezonie (marzec) albo w lipcu i sierpniu, kiedy pół dnia trzeba stać w kolejce do kolejki na Kasprowy czy na Gubałówkę, kiedy na obiad w restauracji trzeba czekać 3 godziny. Bo zapomniano o tym, że w Zakopanem jest sezon całoroczny, że 26 tys. mieszkańców stałych Zakopanego, utrzymać może jeszcze 50 tys. przyjezdnych.

Z racji FIS wybudowano trzy obrzynie restauracje i obecnie Zakopane może przyjąć około 50 tys. ludzi z Polski, ale nikt tu dotąd poważnie nie zajął się tym,

aby do tej bazy żywieniowej dobudować i bazę noclegową, by do wielkich możliwości dopasować jaką taką organizację. W dalszym ciągu przybysza wita chłód nie tylko więcej od zaśnieżonych Kotłów czy Kasprowego Wierchu, ale i chłód tubylców. W dalszym ciągu, mimo, że około 25 proc. wydatków w swym budżecie każdy turysta przeznacza na pamiątki, w Zakopanem czekają na niego jedynie drogie „drobiazgi” w Cappelii albo tanie i szmirowane pamiątki na poziomie jeleni na rykowisku.

Nadal w dzień pochmurny i deszczowy, turyści i wczasowicze snują się po mieście, zanurzając się na śmierć, bo ani miasto, ani organizatorzy turystyki nie wychodzą z żadnymi propozycjami, a przecież Zakopane w taki dzień, gdy chmury zasnają wszystko dookoła, gdy nie widać ani Giewontu, ani Gubałówki, ani Kasprowego, przestaje być Zakopanem, przypominając raczej Stryków czy Zduńską Wolę.

I dyrektor zakopiańskiego Ośrodka Wczasowego i trzeźwo myślący zakopiańczyk mówili mi o sprawie, która od lat już czeka na załatwienie:

— W Zakopanem wszyscy „sobie”: związki branżowe, większe zakłady pracy, FWP, „Orbis” itp. Każdy administruje swoimi domami, a że nie robi poza tym nic, aby rozciągnąć zakopiański sezon z kilku miesięcy do całego roku — więc przez 7—8 miesięcy w roku wiele komfortowych domów stoi pustką.

Doszło do tego, że każdy z tych organizatorów na własną rękę jeździ „w Polskę” po kartofle (FWP np. sprowadza je aż z Olsztyna), że każdy osobno walczy z trudnościami. Największe zaś z zaopatrzeniem wczasowiczów i turystów w żywność — odkąd górali stać jedynie na dostawę mleka (samym mlekiem jednak wczasowicz nie żyje), odkąd Krakowskie zjada wszystko co wyprodukuje, odkąd rolnictwo Dolnego Śląska z biedą obsługuje potrzebę silnie rozbudowanego własnego ośrodka wczasowego. Więc kopalnie jeżdżą po kraju w poszukiwaniu kartofli i kapusty, innymi samochodami — zaopatrzeniowcy z FWP, innymi znów przedstawiciele domów wczasowych należących do związków branżowych.

Chyba czas najwyższy dogadać się na jakimś szczeblu i zlikwidować to marnotrawstwo energii i czasu i pieniędzy. Czas najwyższy oddać wszystkie domy pod jedną administrację (powieźmy FWP, który ma największe doświadczenia i najlepszych fachowców-organizatorów). Tym domami mogliby dysponować ich dotychczasowi właściciele, ale przecież w okresach, gdy domy te stoją puste (przecież siedem miesięcy w roku) główny administrator zatrudziłby się o ich racjonalne wykorzystanie. Bo tak jak jest dziś — pełno

w Zakopanem robotniczych domów wczasowych dla... milionerów, w których cały rok oplaca się personel, do których — gdy „nawali światło” — natychmiast ze Śląska czy Krakowa jedzie fabryczna ekipa elektrotechników, w których koszt jednego miejsca wczasowego w rezultacie nikłego wykorzystania rośnie parokrotnie.

Jedną administracją zlikwidowałyby też inny jeszcze nonsens: kaperowania personelu wczasowego. Bo jeśli kierownik domu utrzymywanego przez kopalnię czy hutę zarabia dużo więcej niż taki sam kierownik (choć często większego domu) ale w FWP, a zarabia więcej dlatego, że zatrudnia go się na etacie... wydziału przedsiębiorstwa — to jasne: ludzie z FWP szukają sobie takich gratek, wykorzystując obecną niernormalną sytuację. Warunki do kaperowania trzeba by zlikwidować choćby i dlatego, że w związku z powstawaniem nowych ośrodków przemysłowych (np. Nowy Targ) i tak już część ludzi poszła na lepsze.

Więc problem rozszerzenia sezonu zakopiańskiego na cały rok. Bo parę tysięcy ludzi z Polski przybywa do Zakopanego i w kwietniu i w maju. Gdy jednak taki przybysz stwierdza, że w tym czasie kolejka linowa na Kasprowy jest nieczynna, gdy restauracja na Kalatówkach zamknięta na cztery spusty, gdy na Gubałówce nie ma już dancingu, bo orkiestra poszła właśnie na urlop, gdy w orbisowskiej „Piwnicy” straszny pusty bar i złowroga cisza — jaka reklama zrobiliby ci przybysze Zakopanem?

Organizując całoroczny sezon można by też ukrócić samowolę wynajmujących kwatery i łóżka w tzw. pełnym sezonie. Żądają oni za pokój 180 zł (z utrzymaniem) za dobę, zapominając, że to nieco za drogo, jak na kieszeń przeciętnego pracownika. Więc w lipcu czy w lutym i marcu trzeba płacić po 180 zł, podczas gdy w okresie innych siedmiu miesięcy setki nowoczesnie urządzonych pokoi wczasowych zionie pustką. Przecież tylko z uwagą na ten wielki sezonowy „boom” najlepszą lokatą kapitału stała się willa w Zakopanem, w której właściciele gnieździ się w jakiejś szopie, wynajmując wszystkie łóżka gościom. Obliczyliśmy na przykładzie jednej takiej willi przy ulicy wiodącej na Krowię, że wynajęcie 12 łóżek (bez utrzymania) może przynieść ich właścicielowi około 100 tys. zł rocznie. Gdy więc Czytelniku masz 500 tys., postaw taki domek w Zakopanem, a za pięć lat zwróci ci się wszystkie pieniądze...

Wykorzystując tradycyjny sezon i w oczekiwaniu na ten sezon ludzie w Zakopanem zrywają podłogi w swych mieszkaniach, by nie dopuścić w sezonie martwym do zagezenczenia zbyt obszernego domu przez kwaterynek i uratować tym samym miejsce na kilka łóżek po 80 zł za jedną noc.

Złą reklamę Zakopanem robi każdy dzień pobytu poza dotychczasowym tradycyjnym sezonem. Gdy śniegi spłyną z ulic Zakopa-

Dalszy ciąg
ze str. 4

sunku do liczby i do jakości domów, ich kolorów i kształtów, nagłych płaskorzeźb i mozaiek widocznych tylko dla oczu wysoko zadzieranych głów, dla oczu, w których wizjach powoli rehabilituje się secesja.

Za ulicą fasad, jest inna głębsza ulica bram i sieni, ulica podwórek, które krzyczą po dziś dzień odrapanymi ścianami oficyn, dudnią błaszanymi puszkami od śmieci. Każdy z nas nosi w sobie kształt podwórka swego dzieciństwa — architekturę pierwszych światła i cieni — odczucie kształtu swojego muru, o który można oprzeć plecy i rzucać guziki, odczucie strony wolnej przestrzeni.

Kształt pierwszego podwórka jest skrótem małego subiektywnego świata każdego człowieka — tutaj zaczyna się budowa wnętrza, które przykładamy wszyscy wcześniej czy później do wielkiego współludzkiego świata.

Jest takie podwórko domu przy ulicy Piotrkowskiej, podwórko, które wiele razy daremnie pragnąłem opisać. Podwórko z bramą przeciętą betonowym skrzydłem, z kafelkowym wejściem z małymi japońskimi drzewkami, z niskimi oficynkami przechodzącymi w perspektywę dalekich drzew. Jest to podwórko, które ukraźdżono mojemu dzieciństwu. To gdzieś narzeciwko Klubu „Palacuk”. Każdy może je obejrzeć, czy rozumiecie, każdy!

III.

Na Piotrkowskiej jesteśmy u siebie. Kiedy idąc muszę ustąpić z chodnika przed stertą kamieni — myślę „A co tu u mnie rozkopali? Dlaczego przegrali mi moją drogę?”. Kiedy zbliżam się do Piotrkowskiej — myślę: że wszyscy przechodząnie będą znajomymi, a przecież zawsze są nowi, ze zdumieniem doświadczam setek tysięcy nowych spotkań. „Dlaczego ich już nie widziałem uprzednio, przecież hwałali tu już tak często jak ja...”. Są dwa snosoby chodzenia po ulicy Piotrkowskiej. — Pierwszy ze świadomym, uważnym oglądaniem twarzy i postaci lu-

nego widać dopiero, ile tu ruder, ile śmieci, gruzu i nieporządków. Oj, przydałoby się temu miastu akcja łódzka, porządkująca ulice i domy, odświeżająca fasady, akcja mobilizująca wszystkich obywateli do pracy na rzecz swego miasta. Pewna kierowniczka domu wczasowego zwracała mi uwagę na dziwną obojętność zakopiańskich ojców miasta: dziury i kamienie na chodnikach, leżą latami, nie ma siły, aby zmusić właścicieli posesji do zrobienia porządku. I to nie prawda, że najwięcej gipsu idzie w Zakopanem na polamane przez narciarzy kołczyzny. Znacznie więcej nog łamie się w Zakopanem z powodu dziur w chodnikach, lodu na ulicy, którego nikt nie usuwa, ślizgawicy, której nikt nie posypuje piaskiem.

I to wszystko dzieje się w miejscowości, w której 70 proc. dochodów miejskich płynie z turystyki. Z czego ta obojętność? Mówią, że Zakopane zapatryło się w przeszłość. Zaraz po wojnie Zakopane było jedyną uporządkowaną jako tako miejscowością wczasową, do której jak w dym waliłi ludzie z całej Polski. Ale w ciągu kilkunastu lat rozbudowały się ośrodki na Drżym Śląsku i Pomorzu Zachodnim, na Mazurach, wzrosły ambicje turystyczne ludzi (coraz więcej ciuła na wycieczkę zagraniczną) —

LUDZIE ULICY PIOTRKOWSKIEJ

dzkich i drugi, kiedy w świadomości jest tylko cel drogi. Idący zanurza się wtedy w tok ulicy Piotrkowskiej, jak w bezustanną ciętą kąpiel. Otóż my ludzie ulicy Piotrkowskiej, których jest na pewno więcej niż pół miliona, znamy się wszyscy z tego drugiego sposobu chodzenia, z rytmu naszych kroków. Jesteśmy robotnikami i urzędnikami, uczniami i nauczycielami — różnymi się płcią, wiekiem i wzrostem — gdzie indziej pracujemy, odrębnie mówimy i mieszkamy. A przecież jest to szeroka, ciepła znajomość. My wszyscy wy-

ci. Małe drzewa ulicy Piotrkowskiej, które można zniszczyć uchwyceniem ręki. W liczbie ludzi ulicy Piotrkowskiej mieszczą wszystkich moich rzeczywistych przyjaciół i wszystkich wrogów...

Czy pamiętacie Piotrkowską w nocy — samochody biegnące w strugach światła. Nocna i dzienna architektura ulicy — jej brzydkie neony — pijacy, którzy w ostatecznym chaosie przechodzą na tę ulicę rozpaczliwie i nieświadomie pragnąc powrotu do harmonii do potęgi i szczęścia stałego, rytmicznego kształtu. Ja po-



bieramy drogę przez Piotrkowską — nawet kiedy istnieje inna krótsza droga dla naszych odrębnych celów. My wszyscy, w ogromnej liczbie jesteśmy milczącymi, nieświadomymi poetami tej drogi. Można być poetą jednego wiersza, jedną chwilą — można także być poetą bez wierszy. Można być poetą świata, kraju, miasta — można być poetą drogi — nie wypowiedzianym poetą ulicy Piotrkowskiej. Jest to nasza wspólna ulica, szersza i dłuższa niż uliczki, przy których demach się rozdzieliliśmy.

IV.

Nie znam jeszcze słów najbliższej nawet przyszłości.

BERNARD SZTAINERT

ciupagom, to się dopiero na podniebieniu zatrzymała...

Junactwo jakieś, ale i poczucie humoru. Pytają pewnego górala, dlaczego sprzedał motocykl. Odpowiada:

— Bo widziacie, benzyna nie chciała się zgodzić ze spirytusem.

Albo: przewodnik-góral prowadził wycieczkę w góry. Po drodze spotyka kolegę prowadzącego innych turystów, zmechnięty już bardzo i nieledwie idących na czworakach. — Stasek! — wola ten pierwszy — co słychać? — Ano prowadzę wycieczkę na Swinice... — Prowadzisz? A ja myślałem, że ty ik pasiesz...

Inny przewodnik zabawiał wycieczkowiczów anegdotami, które wywoływały salwy śmiechu. Tylko jeden z nich siedł cały czas smutny, nie biorąc udziału w ogólnej wesołości. Przewodnik do niego: — Cóż to, mordercie się czymś panocku? — Tak, widziacie, dostałem depresję z domu — moja żona jest ciężko chora, a muszę wam powiedzieć, że mam żonę piękną i młodą. — Eee! — na to góral — gozy byłoby, gdyby była staro i zdrowo...

A poza tym — temat dla socjologów. W Zakopanem, jak mi mówiono, na dzień się małżeństw wśród stałych mieszkańców, aż 8—9 jest rozbitych. Dlaczego?

FELIKS BĄBOL

— Panocku, jak mu doł



do druku podał
St. Chruszczewski

ALEKSANDER
ZELWEROWICZ

Zelwerowicz był wielkim smakoszem. Podczas benefisu na scenie krakowskiej czterech kolegów wniosło obrzyml wieniec z kiełbas i serdelków. Z koszyka wychylały się szklki butelek koniaku i szampa, przybrane nowalijkami.

Na bankiecie wieniec zniknął w żołądkach artysty i jego kolegów.

Teatr Popularny pod dyktando Józefa Piłarskiego wyjechał w lecce na obwód województwa łódzkiego, dając przedstawienia w mniejszych miastach.

W Zdunskiej Woli aktorzy zbierali się po próbie w kawiarni. Pewnego dnia zjawił się Zelwerowicz, który w tej miejscowości spędzał urlop.

Znakomitego artystę przyjeżdżał z radością. Pogawędził, wypił kawę, zjadł kilka ciastek i spojrzawszy na zegarek zerwał się.

— Do widzenia! Za rachunek nie odpowiadam! (W)

AUTENTICA SZKOLNE

Do uszu wizytatora przechodzącego korytarzem za kładu dochodzą z jednej z klas nieludzkie wrzaski i wycia.

— Co to jest? — pyta towarzyszącego mu dyrektora.

— Tam ma lekcję bardzo zdolny nauczyciel, który metodą bezpośrednio-laboratoryjną używa się z uczniami w obyczajach Indian czerwonoskórych.

POŚWIADCZENIE

Wiem, że syn mój. Pytany z historii naturalnej, że umiał, ale proszę mu ten raz wybaczyć, bo o matkę przygotowywała do lekcji.

odgłosy TYGODNIA

NIESIE SIĘ MOWA POLSKA PO WODZIE

Nieliczne baseny stały się miejscem spotkań towarzyskich wielu łódzian różnej płci i wieku. Wszyscy wiemy jak bardzo są zatłoczone. Ale wokół niektórych grup wesoło swawolących młodzieńców jest zupełnie pusto. Po prostu bez pieczeni przebywają od nich z daleka. Młodzieńcy bawią się swobodnie, urządzając niewielkie turnieje zapaśnicze i wśród rozgłosnych krzyków wpychają się wzajemnie do wody. Czasem zresztą z ich przyczyny zupełnie niespodziewanej roz-

koszy kąpielni zażywa ktoś spoza tego grona. Czasem spokojnie pływający obyvatel otrzymuje silne uderzenie w plecy — to też jedna z ulubionych form rozrywki dorosłych bobasków. A ponad zgłębki tłumów, nad plusk wody wzbija się często, gęsto jedno słówko. Słówko omnibus mogące unieść wszystkie zabarwienia emocjonalne, słówko krótkie z dźwięcznym „r” po środku. Słówko oczywiście niecenzuralne. A po wodzie głos daleko niesie...

KOSZMARNY „STARUSZEK”

Koszmarne „staruszek” jest przykładową postacią naszych nowych „dyktatorów”. „Dyktatorzy” ci siedzą za szkłem kiosków „Ruch”. Oczywiście, nie we wszystkich kioskach. Nie sprawdzałem w ilu. Ale są tacy. Nabywanie popularnego czasopisma jest uzależnione od unóżności klienta, słodyczy jego uśmiechów i chytrłości fortelli, ale przede wszystkim od „humoru” naszych „dyktatorów”. Na wierzchu leżą tylko pisma cieszące się mniejszą popularnością. Za to w zakamarkach, pod ladą całe bogactwo. Niestety, dostępne tylko dla najbliższych znajomych. Koszmarne „staruszek” przędzie raz w tym, raz w innym kiosku. Jeśli ma ochotę to coś sprzeda. Jeśli ma ochotę to odpowie. Ale lepiej jest jeśli nie odpowiada. Bo odpowiedź z reguły jest taka, że niefortunny klient stulwszy uszy odchodzi prawie biegiem. Naokoło kultura, a w środku coś wręcz przeciwnego. Czy nie ma rady na koszmarnego „staruszka”?

W roku 1949 przenosi się do łódzkiego Teatru Jaracza, a od roku 1951 występuje aż do dziś na scenie Teatru Nowego.

SYLWETKI ŁÓDZKICH AKTORÓW



MARIA BIAŁOBRZESKA

MARIA BIAŁOBRZESKA — utalentowana aktorka Teatru Nowego.

Zanim tę rodowitą warszawiankę ujrzelśmy na scenach teatrów łódzkich szlifowała swe rzemiosło aktorskie od r. 1945 na produkujących scenach — jej kolejne etapy to: Teatr Stary w Krakowie, Teatr Polski w Warszawie, Teatr Wybrzeże w Gdyni.

Grała tam wiele interesujących ról, żeby wspomnieć tylko: Miriam — w „Mężu doskonałym”, Wandę — w „Grubych rybach”, „Kobietę we mgle” (rola tytułowa), Raniewską — w „Wiśniowym sadzie”, Pulcherię — w „Domu otwartym”.

W roku 1949 przenosi się do łódzkiego Teatru Jaracza, a od roku 1951 występuje aż do dziś na scenie Teatru Nowego.

Świetna sylwetka, wyrazista twarz o pięknych oczach, doskonale wyczuć styl i epoki predystynują tę artystkę przede wszystkim do ról o podkładzie charakterystyczno-komediowym, a szczególnie kobiet flu de siecle'u (Maniewiczowa — w „Zabusiu”, Sörbi w „Dzikiej kaczce”).

Do łódzkich osiągnięć aktorskich Marii Białobrzskiej należą role: Hrabina — w „Szpazmach modnych”, Mezaliansowa — w „Łażni”, Nauczycielka — w „Święcie Winkelrida”, Nike Napoleonidów — w „Nocy listopadowej”, Donna Utracca — w „Teatrze Klary Gazul”, Wdowa — w „Ich czworo”, Bugałowa — w „Człowieku z głową”, George Sand — w Albumie jednoaktówek („Siżyś”), Dolly — w „Operze za 3 grosze”.

Pani Białobrzaska odznaczona została Krzyżem Walecznych za udział w powstaniu warszawskim.

Tekst i zdjęcie: GERARD PUCIATO

O RÓWNOWADZE

Oczywiście — mowa będzie o alkoholu. Jak wiadomo, alkohol jest zasadniczą częścią napoju sfermentowanego, a więc wódki, piwa, miodu, wina, likieru... Nazwa ta jest pochodzenia arabskiego i oznacza „rzecz upiększającą”.

A cóż ta rzecz upiększa? Jak uczy doświadczenie (a pod tym względem mam nietychle alkohol „upiększa” przede wszystkim (i to jak!) wątrobę, żołądek, nerki, serce. „Upiększa” także system nerwowy. Wywołuje odpowiednie zaburzenia w całym układzie nerwowym człowieka. Poraża wiele nerwów i narządów zmysłowych. Czyni chód człowieka chwiejnym, powoduje utratę pamięci, niewyraźną mowę.

Oto doskonale mój portret, uczyniony przez pewnego lekarza, kiedy zjaw-



lem się u niego w dość przymusowej sytuacji.

„Młody człowieku — powiedz mi lekarz — nie panujesz nad sobą, posiadasz słabą wolę, jesteś drażliwy, wybuchowy, podatny do zbrodni i wykroczeń karnych... Zdolność wykonywania pracy jest u ciebie wybitnie obniżona... Opanuj się...”

Opanowałem się... aż w cel. A zaczęło się tak ładnie: od jednego kieliszka „rzeczy upiększającej”. (P)

BUŁ SIĘ ZMENIA

Biblioteka Uniwersytetu otwarta jest zaledwie dwa lata. Nasze miasto chlubi się wystawnością i nowoczesnością ogromnego gmachu. Rzeczywiście na zewnętrz wszystko wygląda imponująco. Tym niemniej wykonawcy zapomnieli o kilku (ich zdaniem mało ważnych) sprawach związanych z dobrym funkcjonowaniem biblioteki. Dlatego obecnie

trzeba stopniowo usuwać pozostawione przez wykonawców usterki. Kierownictwo biblioteki postanowiło wykorzystać przerwę wakacyjną w miesiącach lipcu i sierpniu. B.U.L. czynna jest teraz bądź od godz. 8 do 15 (w dni parzyste), bądź też od 14 do 21 (w dni nieparzyste). Zaś w samej bibliotece rozpoczęły się już prace związane z usprawnieniem jej funkcjonowania. Sprawa dość paląca było pomieszczenie dla katalogów, które gnieździły się w mało przestronnej salce. W tej chwili ekipa robotników pracuje nad jej poszerzeniem. Odbywa się to kosztem i tak ogromnego hallu.

Ta zmiana na pewno wydzie na dobre zarówno pracownikom biblioteki jak i korzystającym z niej studentom i reszty pozostałych czytelników. Należy nadmienić, że prace przy poszerzaniu pomieszczenia dla katalogów nie stanowią żadnej przeszkody w normalnym funkcjonowaniu tej placówki kulturalnej. Do katalogów w dalszym ciągu dostęp ma każdy. Inicjatywie B.U.L. można tylko przyklasnąć. Wskazuje ona na to, że należy się spodziewać dalszych zmian na lepsze (przede wszystkim uruchomienie klimatyzacji w czytelnicy). Czego życzą sobie czytelnicy i pracownicy Biblioteki Uniwersyteckiej.

PRZYKRE WSPOMNIENIA PRZYBYSZÓW

Skrzyżowanie ul. Piotrkowskiej i Zamenhoffa. Ostro gwizdek milicjanta i motocykl z obcymi znakami rejestracyjnymi zjeżdża na bok. „Leci” nowy mandat za jazdę motocyklem po ul. Piotrkowskiej.

Taki obrazek powtarza się dość często, czasem kilka razy dziennie. Przez Łódź wędruje przecież wiele szlaków wędrowców wakacyjnych.

Nieświadomi zakazu wjazdu na ul. Piotrkowską, motocykliści z innych miast pędzą śmiało centralną arterią, dopóki nie zatrzyma ich milicja.

„Mają przecież oczy, powinni zauważyć znak zakazu” — odpowiadają przedstawiciele Wydziału Komunikacji i Komendy Ruchu. Zgadza się z tym argumentem i bynajmniej go nie lekceważymy. Nie usiłujemy też dowodzić, że na „bied-

nych” motocyklistów zastawia się pułapki. Tak, ale mówiąc między nami, wiadomo, że kierowca szuka znaku drogowego tam, gdzie spodziewa się jakiegoś ograniczenia (szybkości, czasu postoju itp.). Nasz zakaz wjazdu na Piotrkowską jest natomiast specyficznie łódzki i obcemu kierowcy ani przez myśl nie przejdzie, że od pewnego miejsca główna ulica jest dla niego niedostępna.

Można by, na przykład, na granicy Łodzi, szczególnie od strony Kielc i Wrocławia, bo z tamtych stron najczęściej trafiają się „ofiary”, ustawić duże tablice: „UWAGA, MOTOCYKLISTO! Zakaz wjazdu na ul. Piotrkowską... itd.”

Czasem dla przybysza z innych stron taki mandat jest pierwszym i jedynym zetknięciem z naszym miastem. I pocóż ma wywozić z Łodzi lekceważymy. Nie usiłujemy też dowodzić, że na „bied-

A TO CI PECH...

Wyraźny pech prześladowa łódzkich piosenkarzy i autorów piosenek. No bo posłuchajcie. W ogłoszonym przez Polskie Radio konkursie na piosenkę młodzieżową trzecią nagrodę (pierwszej nie przyznano) otrzymał Wiesław Machajko i Piotr Marezewski z Łodzi za uroczą piosenkę pt. „Ho-Ho-Ho-Honoratko” (jest taka miła i popularna kawalerka w Łodzi).

Piosenka ta nie była wykonywana na Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu, organizowanym przecież także przez Polskie Radio. Niedawno zapowiedziano audycję poświęconą omawianiu konkursowi. Niestety, audycja się nie odbyła. Autorzy nie mieli okazji wysłuchać swoich piosenek. Proza tym kilku łódzkich autorów otrzymało wyróżnienia na Festiwalu w Opolu. Którzy? Nikt nie wie. Jest to śladka tajemnica organizatorów.

To był pech pierwszy. Pech drugi dotyczy młodej i naprawde utalentowanej piosenkarki Bronisławy Glinkowskiej z „Pstrąga”. Zajęła ona pierwsze miejsce na wojewódzkich eliminacjach konkursu na piosenkę radziecką za wykonanie ballady Okudźawy w przekładzie Janusza Słowikowskiego i opracowaniu muzycznym Witolda Afelta. I co? Na centralne eliminacje do Zielonej Góry Glinkowskiej nie zaproszono.

Ktoś tu łodzianom brzdził. Krasnoludki?

O trunkach

Niektóre gatunki napojów wysokokowych są tak złe, że gdyby nie były tak drogie, to nikt by ich nie kupował.

„Manchester Guardian”.

Gdy poprzysięgniesz, że nie weźmiesz do rąk kieliszka z alkoholem, pozostaje ci tylko jedna możliwość, jeśli chcesz swego ślubu dotrzymać: pij alkohol przez słomkę.

„Ansers” — Londyn.

Opymista jest to człowiek, który skazany na śmierć, pod szubienicą prosi o kufel piwa i zdmuchnie z niego pianę — ponieważ jest ona szkodliwa dla zdrowia.

„Science Digest” — USA.

Jeśli pijecie żebyście zapomnieli, pamiętajcie, żebyście nie zapomnieli, co chcieliście zapomnieć.

„Szerzeń” — Bratysława.

Redaguje Zespół — Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamawia reprintsów nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem: na „Odgłosy”. Druk: RSW „Prasa”, Łódź, Zwirki 17, Zam. 2233, VII. 63. K-4